

Ciechanowiecki, Andrzej

[Ekscelencje, Czcigodni Państwo]

Kronika Zamkowa 1-2/59-60, 16-18

2010

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ekszelencje, Czcigodni Państwo, Drodzy Koledzy i Przyjaciele.

Ogólnie wiadomo, że my, Polacy, lubujemy się i wspaniale obchodzimy różnego rodzaju rocznice, jubileusze, urodziny, a szczególnie celujemy w pogrzebach! I dlatego Zamek gościł Wasze czcigodne grono na obchodach 60-lecia moich urodzin, potem 70-lecia, a nawet i 80-lecia. Natomiast bliscy mi przyjaciele - słusznie chyba - nie chcieli czekać na moje 90-lecie, którego może nie dałoby się już nawet obchodzić... A więc ustalono tzw. jubileusz na 85. rocznicę urodzin.

Wysłuchaliśmy wzruszających mnie głęboko przemówień, adresów, listów, telegramów. Obsypaliście mnie Państwo bukietami kwiatów i tymi wspaniałymi, dalekosiężnymi słowami, wychwalającymi moją życiową drogę i osiągnięcia w dziedzinie, którą sobie wyznaczyłem, z konieczności przecież - w dziedzinie kultury Rzeczypospolitej. Słowa te były na pewno wygłoszone i pisane szczerze, w pełnym odczuciu i wysmakowaniu obecnej chwili. I za to jestem wszystkim, którzy się tutaj zjawili, a szczególnie tym, którzy napisali z tej okazji, dogłębnie i na zawsze wdzięczny. Ja natomiast, doświadczywszy lat, których wszyscy jesteście świadomi, i do tego piszący wspomnienia, zdaję sobie sprawę z drugiej strony tego medalu, który tak wspaniale został skonstruowany na moją cześć w przemówieniach, listach oraz adresach, jakie nam dziś przedłożono. W moim wieku trzeba wreszcie przecież zrobić jakiś rachunek sumienia, rachunek z życia całego, i to nie taki w stylu apologia pro vita sua. Bo taki rachunek sumienia na pewno nie zadowoli Stwórcy, który przecież wszystko o wszystkim wie! Ani nawet ludzi, którzy jeszcze żyją i obserwowali mnie od dawna, a szczególnie tych - to najważniejsze - którzy po nas przyjdą.

Nie będę dziś oczywiście wchodził we wszystkie szczegóły, ale mogę od razu powiedzieć, że pasmo mego życia nie było zawsze nieskazitelne, że były potknięcia, że były chwile słabości, okresy egoizmu, również okresy lenistwa intelektualnego oraz duchowego i tym podobne grzeszki i grzechy powszednie, a czasami nawet ciężkie. Do tego się przyznaję.

Życie moje nie było łatwe. Jak mi to wyróżyla z ręki stara ciotka podczas okupacyjnego „nocnika”, kiedy młodzi bawili się pod czujnym okiem chaperon; „Nie jesteś szczęściarzem. Będziesz przez całe życie musiał walczyć. Ale dojdiesz do wszystkich celów, które sobie postawisz. Lecz gdy do nich dojdiesz, to będziesz tak znużony, że nie będziesz potrafił mieć zadowolenia z tych osiągnięć”. I tak było, i tak jest. Całe moje życie było spletem dziwnych okoliczności, zmian kierunku, poddawaniem się koniecznościom oraz okolicznościom, i doprowadziło mnie do tej pozycji, którą dzisiaj czcimy razem, ale nie były to moje marzenia młodzieńcze.

U kolebki mojej stały na pewno przysłowiowe dwie wróżki; dobra i zła. Ta pierwsza dała mi duże zdolności, wiele talentów oraz zamiłowanie do sztuki i do historii, tej magistra vitae, w której obrębie zawsze się obracałem. Ale ta zła nie pozostała beczynna.

Wsunęła mi do kolebki pewne cechy psychofizyczne, które mi w życiu na pewno nie pomogły. A przede wszystkim wsunęła mi jedną straszną wadę - prawie chorobliwą nieśmiałość. Dla wielu z Was, a nawet większości, pewno to moje przyznanie się do nieśmiałości będzie dziwne albo nawet nie będziecie w nie wierzyć. Bo przecież występowałem zawsze jako człowiek z „siłą przebicia”, który pokonywał wielkie trudności życiowe, który walczył o wartości, w jakie wierzył, i miał na ogół szczęście do ludzi - to jak mogłem być nieśmiały? Tę nieśmiałość pokrywałem zarzucaną mi często wyniosłością, sztywnością wobec innych, a nawet pozorną pychą. Ale to wszystko były pozory ukrywające tę głęboką, ale potwornie drażącą od wewnątrz nieśmiałość, która jak kula uwiązana u nogi ciągnęła się za mną przez całe życie. Te dwie negatywne cechy ze sobą splecione na pewno poważnie zawążyły na moim losie.

No i oczywiście zdrowie. Dobra wróżka data mi je bardzo dobre do wieku 71 lat. Ale wtedy wtrąciła się ta zła. Uległem wypadkowi. Utraciłem władzę w nogach, ale nie utraciłem, na szczęście, panowania nad mózgiem, który stał się jeszcze bardziej czynny niż uprzednio. Niestety, przewidywane na okres emerytalny podróże dla przyjemności - gdyż uprzednie, częste zresztą, były dla spraw zawodowych lub społecznych - nie odbędą się już nigdy. I tak ja - rzekomo wielki humanista - nie znałem i nie poznałem już kolebki naszej cywilizacji, jaką jest Grecja. Pobieźnie też zwiedzałem zabytki wielu krajów, w których mieszkałem albo do których jeździłem. Także muzea czy wystawy oraz muzykę, które zawsze odkładałem na później, gdyż miałem pilniejsze, doraźne zadania. Wszystko to miało być radością jesieni mojego życia. Niestety, stało się inaczej.

Rozważając dalej tę drugą stronę medalu, na pierwsze miejsce wysunąłbym moją frustrację (a może i stratę dla kraju), że nie zostałem dyplomatą, że moje ciągoty do spraw międzynarodowych nie zostały zrealizowane. Wychowany byłem przecież w środowisku dyplomatycznym; ciągnęło mnie do tej kariery od dziecka. Zakosztowałem zresztą tego zawodu w 1945 r, roku płonnych nadziei na spełnienie jaltańskich obietnic. Nic z tego oczywiście nie wyszło. Były jeszcze późniejsze próby, ale też niespełnione. Do spraw politycznych dobierałem się jednak przez całe życie i moją działalnością czasami, na jakimś odcinku byłem skuteczny.

Przechodząc do dalszych cieni na odwrocie medalu, to moje osławione wielkie czytanie i wszechstronna wiedza pochodzą jedynie z szerokich lektur podczas moich lat dzieciennych czy młodzieńczych. Przystałem czytać właściwie - poza rzeczami ściśle zawodowymi - kiedy miałem 20 lat. Było tego jednak sporo.

Także i moja działalność, czy to zawodowa, czy to społeczna, powinna była być znacznie pogłębiona i rozszerzona. Mogłem tyle więcej zrobić, mając tak wielkie, otwarte przed sobą możliwości.

Byłem przecież członkiem tylu towarzystw naukowych, tylu stowarzyszeń społecznych, kościelnych, a szczególnie rycerskich, tylu grup zawodowych czy innych gremiów. A co dla nich właściwie zrobiłem? Były osiągnięcia, ale było też dużo blichtru, dużo powierzchowności i pozorów. Tej pewnej powierzchowności mojego życia dzisiaj żałuję.

Mogę więc powiedzieć, że stoję dzisiaj przed Wami, niosąc niejako dwa pojemniki. Pierwszy to jakby Szkatuła Królewska z Muzeum Czartoryskich, zapelniona wielkimi klejnotami, ale także, niestety, i historyzującymi falsyfikatami. A drugi to moja osobista puszka Pandory, którą dzisiaj przed Wami otwieram. Częściowo świeci ona pustkami, a częściowo wysypuje przed Wami błyskotki, fałszywe klejnoty, które się świecą, ale właściwie nie mają przecież większej wartości. Życie moje jest więc syntezą zawartości tych dwóch szkatuł. Jest w nim na pewno dużo dobrego, co ujawniała Szkatuła Królewska. Jest też dużo blichtru oraz złudnych blasków, które wysypały się z mojej puszki Pandory. Osąd tej syntezy pozostawiam Wam.

Mogę jednak na zakończenie powiedzieć, iż życiem moim kierowały zawsze trzy zasadnicze cnoty, zwane słusznie kardynalnymi. Przede wszystkim wiara, wiara w Boga,

który mną kierował według swoich nieznanych mi zamysłów, ale zawsze ratował w potrzebie i doprowadził szczęśliwie do dzisiejszego dnia. Następnie nadzieja, na której się opierałem w chwilach trudnych - a takich było dużo. Nadzieja na lepszą przyszłość. Nadzieja, która się dzisiaj spełniła. A wreszcie miłość. Miłość do bliźnich Miłość do otaczającego mnie świata. Miłość nie zawsze okazywana w sposób właściwy - ale zawsze szczerą. I miłość do kraju, który w przeszłości często bywał mi bardziej macochą niż matką. Miłość do tej ojczyzny, której próbowałem zawsze służyć i zawsze służyć będę do ostatniego mojego oddechu

Dziękuję

Dixi.

prof. Andrzej Ciechanowiecki